



Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadsyłanych redakcyi Tygodnika, nie zwraca się.

N^o 84.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwart.
rs. 2, miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 9 sierpnia 1884 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie:
kwartalnie rs. 3.

Tom IV.

Adres redakcyi: „Warszawa. Krakowskie przedmieście nr 15, przy księgarni Gebethnera i Wolffa.”

Treść numeru. Artykuły: Ignacy Domejko.—Od kolébki do mogily, opowiadanie przez J. I. Kraszewskiego (dalszy ciąg). — Nasz stół redakcyjny.—Wrażenia 16-letniego pobytu w Ameryce, przez B. Horodyńskiego (dalszy ciąg).—Kronika tygodniowa, przez St. M. Rz.—Przegląd polityki zagranicznej.—Anna Cylejska, dramat historyczny w pięciu aktach, przez Juliusza Bema (dalszy ciąg) — Przegląd piśmienniczy: Rocznik pedagogiczny. — Kronika paryska.—Wyścigi międzynarodowe i Towarzystwo żeglarskie w Nicei.—Odezwa J. Goldszmita.—Stowarzyszenie międzynarodowe literackie i artystyczne.—Silva rerum.—Sprostowanie.—Korespondencya od redakcyi.—Konstanty i Władysław Braniccy.—Szachy. — Dodatek. Andor, romans Roberta Byr'a, przekład F. Sulimierskiego (arkusz 6-ty).—Ryciny: Ignacy Domejko.—Tandeciarz, kopia obrazu ś. p. H. Lipińskiego.—Zatoka Nicei podczas odbywania regat, rysunek Podbielskiego.—Konstanty i Władysław Braniccy.

IGNACY DOMEJKO.

Mam sławę najlepszego w Litwie ekonoma.
Adam Mickiewicz.
Zaprawdę, nigdy my nie będziemy starzy!
Józef Bohdan Zaleski.

Nie dla niepotrzebnej przykrasy, ani témbar-dziej dla niepotrzebnej erudycyi, wypisaliśmy tu wyrazy dwóch wieszczów, włożone w usta Ignacego Domejki i zwrócone wprost do Domejki. Piérwsze z nich ściały się do chwili najwyższego rozkwitu romantycznego filaretyzmu w celach klasztorów ks. ks. bazylianów i bernardynów wileńskich, i mówiły o znajomości potrzeb życia praktycznego przez Domejkę. Drugie były pisane i posyłane do Santiago, kiedy tenże sam Domejko, z młotkiem geologa w kieszeni, wędrował po Kordylierach, a w domu „kwasil” minerały, szukając ukrytych skarbów dla przybranej ojczyzny, rzeczypospolitej Chili. Wśród towarzyszków, mających za hasło światło i cnotę, znano jego oborę pełną wybranych „merynosów i wolów;” wśród twardej znoju pracy powszedniej świadczone o nim, że „nigdy nie będzie stary.” Oba te świadectwa ludzi najmilszych jemu i naszemu sercu, składają się na określenie całości charakteru, jakim powinien być charakter Polaka, owszem charakter każdego, kto trapi serce i mozoli dłonie, nie myśląc końca świata, z osobistym mizernym zgonem na ziemi. „Jeńcy my śmierci, ale nieśmiertelni!” wykrzykuje Józef Bohdan do

swojego ukochanego Żegoty, ku któremu z Passy pod Paryżem do Santiago „antypody wierci,” dla skrócenia zbyt długiej podróży. W chwili niezdarnego rozcinania charakterów na marzycieli i praktyczników, słodką jest rzeczą zobaczyć męża, łączącego obie te cechy w jednej osobie i świadczącego, jednolitym sobą, o nieśmier-

telności. Więc też wieczór zeszlęj soboty, w którym powitaliśmy Ignacego Domejkę na dworcu kolei w Warszawie, winien być zapisany w rocznikach naszego miasta. Powtórzyła się scena, która osiwailemu dziś Żegocie dała onego czasu pochop do wykrzyku w poemacie: „U mnie cela trzy kroki—was taka gromada!” ale powtórzyła się weselęj, chociaż uroczyścięj i ciszjęj, niżeli przed sześćdziesięciu laty. Było tłumno, ale i radośnie, a wśród radości i peron się jakoś rozszęrsał.

Długo się ciągnie na oceanie Atlantyckim i Spokojnym linia podróży Domejki z Litwy przez ład Europy do Chili i z Chili do Warszawy; długo się ciągnie na mile i na lata. Ignacy Domejko urodził się 22 sierpnia 1801 r. w owym plennym zakątku ziemi, który wydał Chreptowiczów, Rejtanów, Niesiołowskich, Mickiewiczów, Korsaków, Kaszyców, Pusłowskich i innych. Kształcił się od roku 1812 w Szczyrcynie litewskim, nieopodal Lidy, gdzie pijarowie mieli wzorową szkołę, słynną na całą Litwę, przewyższającą rozgłosem nawet znane kolegium wileńskie tego zakonu. Tam nastąpiło piérwsze spotkanie się między młodocianym uczniem Domejką, a „nauczycielem matematyki, języka greckiego i rysunków” w jednej osobie, księdzem Józefem Lwówiczem, których obu nazwiska połączyło na wieki czarodziejstwo poezyi. Na oddział nauk fizycznych i matematycznych uniwersytetu wileńskiego wszedł Domejko w r. 1816, kiedy kuratorem uniwersytetu był Adam książę Czartoryski,



Ignacy Domejko.

(426)

rektorem zacy Szymon Malewski, a wykładającymi w oddziale byli: ks. Bonifacy Jundziłł, Jan i Jędrzej Śniadeccy, Zacharyasz Niemczewski, ks. Tadeusz Kundzicz, ks. Franciszek Narwojń, Ignacy Reszka i Tomasz Życki, nazwiska jedne mniej, drugie więcej, ale wszystkie pięknie znane w dziejach oświaty krajowej. Jędrzej Śniadecki górował tam nad bratem syntezą uczuć i wiedzy, kiedy Jan sadził się raczej być, niżeli był w istocie, zinną formułą matematyczną. Atoż właśnie z tego powodu nie około Jana, ale około Jędrzeja Śniadeckiego skupiało się wszystko, co zakwitnąć miało w Wilnie wielkim rozumem, popołu z wielkiem uczuciem. Uczniem Jędrzeja Śniadeckiego był przez czas jakiś nawet Adam Mickiewicz; uczniem jego był Tomasz Zan, czarujący później Kirgizów swojemi wiadomościami przyrodniczymi; uczniem jego był także Ignacy Domejko, któremu losy kazaly być ezarodziejem przyrodniczym dla Chilijczyków. Poza audytoriami uniwersyteckimi powstały naówczas niemal jednocześnie dwa zgromadzenia prywatne, wzajemnie się uzupełniające: „Szubrawców” i „Filaretów”—pierwsze działające na ojców, drugie na synów, ale w jednym wspólnym celu podźwignienia moralnego przez „postęp.” Wierutną bowiem nieprawdą jest puszczono niedawno twierdzenie, jakoby to były dwa bieguny kierunków społecznych, na sposób dzisiejszych wstecznych i postępowych bojów parlamentarnych w Europie. Prawdziwym ojcem obu zgromadzeń był jeden i ten sam Kaźmirz Kontrym, kierownik duchowy *Wiadomości brukowych* i przewodnik duchowy Tomasza Zana, założyciela stowarzyszenia Filaretów. Obok Filaretów zasiadali Szubrawcy; pomiędzy współpracownikami Szubrawców znajdowali się Filareci; wspólnem hasłem jednych i drugich było zbawienie społeczeństwa. Kwestye religijne, tak namiętnie dzielące dziś ludzi, jak gdyby rzeczywiście zbliżał się straszliwy przełom w dziejach duchowych Europy, podówczas prawie nie istniały w Wilnie. Starzy wolterzyaniści tak samo wszędzie ucztowali przy jednym stole z gorliwymi katolikami, jak Ogiński z Odyńcem w świetnym pałacu Krasieńskich w Warszawie, albo ks. Lwowicz z Jankowskim, „drwiącym z jego wiary,” w ponurym klasztorze przy ulicy Ostrobramskiej w Wilnie. Potomkowie senatorów, Chreptowiczowie i Tyzenhauzowie, za pan brat przestawali z ludźmi takimi jak Mikołaj Malinowski, których nawet szlachectwo nie mogło być dowiedzione, a ledwie wolność osobista zabezpieczona od skutków twardego Statutu Litewskiego, jeszcze podówczas obowiązującego w Wilnie. Tutaj to szukać należy wyższości praktycznego romantyzmu wileńskiego nad ówczesnym teoretycznym klasycyzmem warszawskim; tutaj się gruntuje jego tryumf nad przeciwnikiem w literaturze, i miéjmy nadzieję, tryumf ostateczny wśród czynników rozwoju społeczeństwa dzisiaj. Tutaj widzimy określony grunt żyzny, z którego jak kwiat słonecznika wystrzela znacznie późniejszy wykrzyk byłego ucznia szkół humańskich, zależnych od dawnego uniwersytetu wileńskiego, autora *Rusalki i Duchy od stepu*, zwrócony do Domejki: „Nigdy my nie będziemy starzy!” Wstyd jeno będzie dla nas, jeżeli nie zrozumiałwszy tkwiącej w tym wykrzyku syntezy społecznej, pozwolimy spełnić się widzeniu proroczym wielkich mężów dopiero po ich zgonie, jeżeli gorzkim myśłom społeczeństwa rozerwanego na sekty, jak zwykle bywa w nieszczęściu, pozwolimy się zjednoczyć dopiero poniewczasie. Dziś Domejko, przybyły do Warszawy na krótki tygodniowy przeciąg czasu, jest dla nas przypomnieniem, że spójnia uczuć i myśli, organizacja pracy społecznej dawno już jest nawiązana i czeka tylko wykonawców — nie w pustém stronniczém słowie, ale w czynie zbiorowym.

Domejko nie czekał tak długo, aż Polacy przestaną się uosić nad własnym posłannictwem i własnym krasomówstwem, aż róże i bielidla polityczne oddadzą tam, gdzie właściwe miejsce dla nich: do garderoby teatralnej, do fabryki Karólów, Moorów i Rodinów. Pierwszém je-

go zadaniem po ukończeniu dwóch wzajemnie uzupełniających się wydziałów uniwersytetu wileńskiego: nauk fizycznych i matematycznych, oraz nauk moralnych i politycznych, była „praca u podstaw” w dobrach Zalesie pod Lidą, od danych mu przez stryja, również Ignacego Domejkę, zwołanego w swoim czasie prawnika, który ślad swoich rozległych wiadomości pozostawił w literaturze prawniczej. Tam „Żegota” Mickiewicza zabrał się cożywo nietylko do hodowli udoskonalonej rasy „merynosów i wołów,” co wówczas było mesychną osobliwością na Litwie, ale i do poprawienia losu bédnej ludności pracującej, na którą przed nim ledwo referendarz prałat Brzostowski, ledwo podkanclerzy Chreptowicz i ojciec kompozytora *Halki*, a wreszcie sejm szlachecki 1818 roku reformatorskie rzucili spojrzenia. Oderwała go od tej pracy w r. 1823 rozgłosna sprawa filarecka, której koniec o tyle był dla Domejki szczęśliwszy, że nie kazano mu, jak towarzyszący jego: Zanolwi, Mickiewiczowi, Czeczotowi i innym, szukać szczęścia za górami, lecz pozwolono osiąść w Zalesiu, pod warunkiem nieopuszczania wioski bez wyraźnego na to pozwolenia. Pracował więc dalej, dzieląc czas między obcowanie z ludem, między znoje gospodarstwa wiejskiego, między badania naukowe, a wazytywanie się w poetów bohaterkich. Posępne pienia Ossyana, czy też jego podrabiacza, najbardziej przypadaly do ówczesnego usposobienia duszy Domejki. Jakoż zabrał się był nawet do przekładania Ossyana; lecz o dalszych dziejach tej pracy nie mieliśmy odwagi wypytywać teraz znużonego nienastannymi hołdami gościa, w listach zaś jego z owęj daty, szczęśliwie przechowanych u Odyńca, wycytujemy tylko wiadomość o samym fakcie tłumaczenia i posyłania przekładu do Wilna. W kilka też lat potem, stylus pisarski zupełnie poszedł pod ławę, gdy inne narzędzie samo weisnęło się w rękę. W lecie 1830 roku Domejko nawiedził Warszawę, a w końcu roku 1831 widzimy go już poza granicami kraju, internowanego w pruskiem miasteczku Gerdanen pod Królewcem. Muza poezyi, wierna starożytniej wyroczni, umilkła i zapieczętowała tablice.

(Dokończenie nastąpi.)

OD KOLÉBKKI DO MOGIŁY.

Z ŻYCIA ZAPOMNIANEGO CZŁOWIEKA.

OPOWIADANIE

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

(Dalszy ciąg.)

Ojciec mawiał mu zawsze, że popełnia czyn świętokradzki, kto głosu powołania nie słucha, bo ten jest głosem Bożym. Słowa te ojca były dla dziecka świętymi.

Lecz w pojęciu jego literatura, choćby tylko dała skromną posadę nauczyciela, płaciła sownicie rozkoszami, które przynosiła zaspokojonej duszy.

On przeto postanowił sobie poświęcić się literaturze, matki tylko nalegania i niepokoje od oświadczenia się z tém stanowczo jeszcze go wstrzymywały.

Wreszcie i ona dziecku nie miała siły się sprzeciwiać.

Wciągu tego pół wieku, który nas przedziela od lat młodości Bernardka—wiele, bardzo wiele zmieniło się na świecie. Literatura, jeśli nie u nas, to gdzieindziej, nietylko daje chleb, ale i masło do niego; chudy literat tradycyjny utył znacznie. Pisarstwo, zamiast być, jak dawniej, poświęceniem, stało się zawodem. Za owych jednak czasów ani Bernardek, ani nikt nie widział w powołaniu tém nie innego nad ofiarę, nieprzewycięzonemu wewnętrznemu poczuciu misji uczynioną.

Młody Bojarski widział w tém pewien rodzaj kapłaństwa—najszczytniejsze zadanie. Prowa-

dzić ludzi ku światłu, a przez nie ku enocie, do tój *civitas Dei*—do wymarzonego ideału...i—nie wartoż było znosić, cierpieć, mrzóc głodem, aby stać się apostołem wielkich idej, nawołującym ludzkosć na drogi Boże?

Obok tego celu, sam kult piękna był szczęściem w jego pojęciach... Czuć i tworzyć piękno nie jest-że największą rozkoszą?

Poeta, wódz, kapłan, choćby w łachmanach — nie był-że największą światą ozdobą?...

W ostatniej klasie uległ Bernard pokusie—począł pisać. Zdawało mu się, że poznawszy, co tylko poczyna wydała najpiękniejszego aż do czasów ostatnich, mógł pochwycić za pióro i spróbować, czy z piersi wytrysnie źródło żywe.

Długo wprzódy nosząc się z myślami, wyrażając w sobie temata, ubierając je w jaknajświeczniejsze szaty, miał zapas ogromny, niezużyty, który drudzy na marnych próbach rozpraszają.

Z bijącym sercem, z niewypowiedzianą rozkoszą—począł tworzyć.

Lecz co w myśli okryte było uroczemi blaskami, co się zdawało łatwém do wylania, do wcielenia — gdy przyszło nadać temu formy pewne, ukazało się bladém i słabém.

Wstawał w gorączce od pisania, a potem, gdy owoc pracy i natchnienia wziął w rękę, znajdował go poronionym i słabym—w umyśle jego był on daleko doskonalszym.

Zraziło go to, ale postanowił waleczyć...

Tysiące tajemnic ma w sobie sztuka. Zbytek natchnienia rozplamieniającego siły do tworzenia często odbiera—ostygnięcie zupełnie ich pozabawia. Znaléże chwilę szczęśliwą jest nielatwém.

Ileż płodów poronionych przez szal, który panem nad sobą nie dał być poecie; ile chybionych rzeczy, gdy z natchnienia odblask tylko został i wspomnienie!

Była to chwila, w której poczyna zaczynała się ku najnaturalniejszemu zwracać źródłom, ku pieśnion ludowym, tradycjom narodowym—do materyału rodzimego. Bernardek mało znał lud; dzieciństwo spędził w miasteczku, młodość mu upływała w stolicy; piękności sielskiej poezyi odczuł tylko w zbiorach wydanych, szczególnie w obrobie ich i użytkowaniu przez Brodzińskiego. To jednak nie starczyło. Postanowił sobie w jakikolwiek sposób zbliżyć się do ludu.

Z drugiej strony stała poczyna Byronska, z całą potęgą wiekuistych tęsknic i boleści ludzkich, pociągająca ku sobie rozpaczliwym, często szyderskim swym wyrazem. Potężną jej piękność czuł Bernard, ale zdawała mu się zaczarną, a poza nią niebios i niczego jasnego nie było widać. Okrywała świat ciemnościami i żałobą. Była raczej jedną struną wiekuistej lutni — nie całą nią, lub wyrazem prawdy. Ostatniém słowem jej rozpacz, a Bernardek pojąć tego nie mógł, aby świat miał być stworzony na to, ażeby istnienie swe przeklinał. Trwogą ogarniały go te skargi boleściwe, przejmujące, złowrogie, zostawiające po sobie truciznę i niesmak.

Pierwsze więc próby wypadły dziwnie. Było w nich coś z powiewu świeżego, wiosennego, trochę tęsknicy—nieoznaczonego coś i mglistego. Bernardek nie był z nich rad i popisywał się niemi weale nie myślał.

Przypadkiem mu je wykradziono. Choć się może niczém nie odznaczały nadzwyczajném, formą, której dar miał i poczucie szczęśliwe, mogły najsurowszego znawcę zachwycić. Wiersz był prześliczny, dźwięczny, harmonijny, wykwinicie wydłutowany, tak że pokrywał słabość treści, odświeżał co w niej było zużytego.

Poszły próbki te po rękach, dostały się ówczesnym koryfeuszom i... zdumiały.

Wszyscy znajdowali w nich zapowiedź znakomitego talentu; ale Bernardek był w rozpacz, bo czuł, że one fałszywą dawały miarę jego zdolności i siły.

Brodziński, który się tak po ojcowsku zajmował młodzieżą, powołał go do siebie. Z uniesieniem wyraził się o piosence i baladzie, które mu przyniesiono.

Podczas gdy istnieje tyle sposobów postradania życia na usługach ludzkości, ludzkość ta zmuszona jest ciągle, dla zabezpieczenia swego bytu i porządku, pozbawiać życia niepoprawnych a niebezpiecznych przestępców. Kara śmierci, przeciw której filantropi, myśliciele i niektórzy kryminaliści napisali fiolety, kara śmierci, nad którą poetyczne serca tyle sentymentalnych wypląkały elegij, jest jeszcze głęboko zakorzenioną w naszych zwyczajach. Cywilizowany wiek XIX nie ma nadziei widzieć jej zniesienia i przyznać trzeba, że nie ma do tego prawa. Skoro najznakomitsi synowie kraju giną tysiącami od kul armatnich w bitwach, skoro śmierć w pojedynku jest uświęceniem honoru, nie widzimy doprawdy potrzeby wyléwać trenów nad karą śmierci, wymierzoną na lotrze, wyrodku i zakale społeczeństwa.

Ale jeżeli uważamy karę śmierci jako kwestyę podrzędną, jeżeli widzimy w niej zło konieczne, albo przynajmniej zło użyteczne, to uczciwość i tolerancja nie pozwalają nam pastwić się nad tymi, którym odbieramy życie. Gdy w końcu zeszłego wieku dr Guillotin wynalazł machinę do ścinania głów, machinę która dała jego imieniu herostratową sławę, uważano jego wynalazek, jako przysługę oddaną ludzkości. Istotnie była ona postępem, ale nie ostatniem słowem w tym kierunku. W niektórych krajach ścinają przestępcom głowy we wnętrzu więzień, aby nie narażać skazanych na długie ceremonie, poprzedzające egzekucyę.

Obecnie duch humanitarny pokazuje się jeszcze w nowym, ulepszonej pomysłu. Senat francuski ma sobie przedstawiony prawodawczy projekt, mocą którego zamiast przerażającej i ohydnej gilotyny, skazani na śmierć mają ją ponieść za pomocą baterji elektrycznej wystarczającej siły. Rodzaj gromu piorunowego ma odbierać im życie. Pan Bertholot, najpierwszy z chemików francuskich, wraz z kolegą swoim, p. Chartou, uważają ten środek za praktycznie możliwy; lecz choćby nawet nie przyszedł do skutku, sam przez się już zasługuje na wzmiankę, jako symptomat opinij istniejących w łonie dzisiejszych społeczeństw.

Powieściopisarstwo w Anglii, gdzie przez długie lata pojawiały się talenta, pokryte z początku nieprzedartą zasłoną bezmienności, odzwyczailo nas obecnie od tego rodzaju nowych znajomości. We Francji zato, gdzie płodność na polu powieściopisarstwa jest prawie taką samą, mamy niekiedy sposobność napotkania świeżych, oryginalnych zdolności. Niedawno zapoznaliśmy czytelników z deikatną, psychologiczną analizą p. Bourget, a teraz znowu staje przed nami autor, który odrazu, jednym polotem, zajął miejsce pomiędzy mistrzami. Mówimy tu o p. Pawle Bourde, autorze powieści *Fin du Vieux Monde*. Jest to bez najmniejszej wątpliwości najznakomitszy twórca powieściowy, jaki przyniosła nam nowa szkoła romansopisarzy, a przecież to nie innego, jak obraz z życia wieśniaków Francji środkowej.

Daleko już zostawiliśmy za sobą czasy Berquinów i Floryanów, którzy malowali wieśniaków w jedwabnych pończochach, z madrygałami sentymentalnymi na ustach; nawet prześliczne *paysanneries* George Sanda nie mają dostatecznej życiowej prawdy i są raczej poematami, osnutymi na złotój przedzy wyobraźni. Realizm dzisiejszy, potrzeba wewnętrzna widzenia świata takim jakim jest, sprawia, że nam się chce wejrzeć w psychiczną głębię klas niższych, mniej oświeconych, i zapoznać się z ich duchową atmosferą. Tę potrzebę odpowiada właśnie twórca p. Bourde i tak tłumaczyć sobie można okrzyk uznania, poklask szeroki, jaki ta powieść znalazła.

Autor postawił przed nami szereg postaci wieśniaczych, z ich przesadami, uprzedzeniami, za bobonami, z ich ciemnotą i zosklepieniem w ciasnym kole rutyny i tradycyi. W łonie tego świata toczy się walka pomiędzy stronnictwem zachowawczym a postępowym, walka o przedmioty niewielkiego napozór zakroju, o utrzymanie dróg, o uprawę roli, o szkołkę, o radę gminną. Ale całe życie wieśniacze, co więcej, cały byt mate-

ryalny i moralny społeczeństwa, zależnym jest od sposobu, w jaki te kwestye będą rozwiązane. Autor uzmysłowił te dwa kierunki, stary i nowy, w dwóch postaciach, narysowanych z tragiczną siłą. Stary wieśniak, który nawet przed zbrodnią się nie ulęknie, i ugrupowane naokoło niego postacie są przedziwne, i chyba w Adamie Beed, tym mistrzowskim utworze George Eliota, trzebaby im poszukać rówieśników. Naprzeciw tego starego świata, nowy żywioł wieśniaczy jest może uidealizowany trochę, gdyż autor, optymista, hojną ręką zsyłał nań swoje dary; ale jakże sympatyczny, jak pełen jędrnej krzepkości moralnej! Pomiędzy temi dwoma światami stoi biała gołębia, dziewicę wiejskie, z oliwną różeczką pokoju. Nie można się od wzruszenia powstrzymać, czytając niektóre karty tej powieści, a całość zostawia to wrażenie zdrowe i pokrzepiające, które jest świadectwem pierwszorzędno talentu. Od autora *Fin du Vieux Monde* mamy prawo na przyszłość spodziewać się utworów mistrzowskich.

Toporezyk.

IGNACY DOMEJKO.

(Dokończenie.)

Zpomiędzy garbarzów i tkaczy miasteczka Gerdauen, zkład na domiar szyderstwa losów, ciągnęły Domejkę na Litwę świeżo tam zawiązane tkliwsze stosunki, dopiero pod koniec stycznia 1832 r. pozwolono udać się mu do Drezna, dokąd od czasów dwóch Sasów i popuszczania pasów, kiedy żywot trapistowski był nakazanym dla narodu lekarstwem, ciągnęły gramady Polaków, jakby do czegoś napoły swojego. Po roku 1831 roily się nimi ulice Drezna: tam Mickiewicz tłumaczył *Giawra*, tam Garczyński pisał *Wacława*, tam Pol spisywał swoje *Pieśni Janusza*, tam Odyniec przygotowywał wydawnictwo *Przyjaciela ludu*, tam nareszcie niezapomniana Klaudyna Potocka miękką dłonią mickiewiczowskiego chirurga opatrywała cierpienia duszy i cierpienia nędzy rozbitków. Domejko jednak energiczny, w smutnych niepowodzeniach czerpiący siłę do walki z niemi, nie popasał długo w Dreźnie, lecz pociągnął z Mickiewiczem dalej do Paryża, aby się kształcić na praktycznego „robotnika.” Jakoż tocząc z Mickiewiczem spory o trudność dobiierania rymów do wyrazu „Domejko,” przepisując mu *Pana Tadeusza* i prowadząc ko rektę poematu, układając z Mickiewiczem, Bohdanem Zaleskim i Stefanem Witwickim plany podźwignięcia upadłych na duchu w kraju przez ozywienie w nich uczucia religijnego—chodził Żegota do Sorbony i szkoły górniczej w Paryżu na wykłady chemii, mineralogii i metalurgii, aż nareszcie poczuł się uzdolnionym do zajęcia stanowiska górnika praktycznego w Alzacji. Atoli twarda praktyka życia rychło go rozczarowała ze złudzeń: nauka ukochana od młodu gotowa się była pogodzić z zarobkiem, ale nie chciała ustąpić mu pierwszeństwa. Domejko z dusznych kuźnic alzaeckich rwał się do rozległych laboratoryów, do bogatych gabinetów i nieprzeliczonych bibliotek Paryża, i byłby się może splamił zbiegowstwem, gdyby wezwanie do nauki przed przyjaciółmi nie zjawilo się wezwaniem z za oceanu, następczące naszemu uczonemu sposobność pogodzenia prac naukowych z praktycznymi. Wzywano go do Chili, ażeby w mieście Coquimbo urządził szkołę chemii i metalurgii, założył pracownię i gabinety, mające ułatwić Chilijczykom ciągnięcie zysków z bogatych skarbnic podnóża Kordylierów. Nie namyślając się długo, wzięwszy młotek górniczy, dmuchawkę i termometr do kieszeni, wyruszył Domejko z Paryża przez Anglię, ocean Atlantycki, ład Brazylii i wyniosłości Kordylierów do Chili. Było to w końcu stycznia 1838 r., zatem lat temu przeszło czterdzieści sześć i pół.

Praca specjalna Domejki w Chili była niezmiernie różnorodna. Rzeczpospolita znajdowała

się w wielkich tarapatach piędnych; ze wszech stron wołano nań, żeby dawał srebra, a tu nie znano ani budowy geologicznej kraju, ani składu chemicznego mineralów, ani sposobów przetapiania rudy złożonej z zawilskich związków. Potrzeba było samemu czynić poszukiwania geologiczne, które powoli z czysto praktycznych zamieniały się na naukowe, dokonywać mnóstwa rozbiórów chemicznych, nauczać z katedry i w laboratorium, pisać podręczniki fizyki, chemii, geologii, mineralogii, układać instrukcje jak inni mają postępować w poszukiwaniach i t. d. Około dwudziestu prac tego rodzaju w języku hiszpańskim złożył obecnie Domejko w upominku gabinetowi mineralogicznemu tutejszego uniwersytetu, pospołu z kilkudziesięciu rzadkimi mineralami, zebranymi przez niego w Chili. Tym sposobem przynajmniej bibliografia pism jego, kręślonych dla przybranej ojczyzny, znana tylko z ulamkowego spisu w dziele niezmodernowanego Estrejehera, da się porządnie ułożyć. Ale nie na tém był koniec pracy pisarskiej dla dobra Chili. Skarby przyrodzone rzeczypospolitej leżały odlogiem dla braku przedsiębiorców, a jeszcze bardziej dla braku kapitałów; należało więc zainteresować przedsiębiorców i kapitalistów europejskich, a przytém i nauce europejskiej oddać przysługę. Ztąd poszły liczne sprawozdania Domejki, pisywane po francusku, zamieszczane przez lat czterdzieści w *Annales des Mines*, a ztamtąd w wyciągach powtarzane przez pisma przyrodnicze i ekonomiczne różnych krajów. Nauka dowiadywała się z nich o nowych faktach, a kapitał o nowych polach do siejby i żniwach procentów. Kiedy po założeniu w Santiago uniwersytetu, powołano do niego w r. 1846 Domejkę na profesora chemii z dodatkowymi kursami fizyki i mineralogii, przybyła mu nowa praca w urzędowaniu wychowania publicznego według jednego planu. Mianowana w tym celu komisya uniwersytecka szła za przewodem Domejki, i tym sposobem się stało, że znakomity ustrój b. uniwersytetu wileńskiego i zależnych od niego szkół niższych, w najistotniejszych częściach przeszczepiono do Chili. Po niejakiem czasie i naczelny kierunek uniwersytetu dostał się w ręce Domejki, wybranego na rektora. Wybór jego, czterokrotnie ponawiany, trwał lat szesnaście, i dopiero przebojem Domejko zmusił rząd i towarzyszy uniwersyteckich do przyjęcia jego rezygnacyi w maju r. z., chociaż wykłady prowadził jeszcze aż do ostatnich styczniowych wakacyj. Zresztą nie ograniczając się szkołą, usiłował Domejko wpływać i piśmem na podniesienie moralne przybranych rodaków. Sposobność ku temu nastęrczyła polityka Rzeczypospolitej względem biednej Araukanii, z dwóch stron ogrodzonej morzem i Kordylierami, a z dwóch innych opasanej posiadłościami chilijskimi. Zamknięty w tej matni półdziki, ale waleczny i poczciwy lud autochtonów, miał według jednych być cywilizowanym na drodze stosunków pokojowych, podług innych zaś krzykliwszych skazanym na wytępienie, aby ziemię jego przywłaszczyć. Domejkę obruszył ten zamysł zwierzęcy i postanowił wystąpić przeciwko niemu z całą siłą. Jakoż odbył umyślnie podróż po Araukanii, a książka jego, wydana w r. 1845 p. t. *Araucania i sus habitantes*, przechyliła szalę na stronę ludzkości. Cywilizowanie „młodszych braci” idzie oporem, ale idea chrześcijańska, tryumfująca w polityce Chilijczyków, podnosi ich samych na wyższy szczebel umoralnienia.

Ze wszystkich dzieł hiszpańskich Domejki, jedyna tylko *Araucania* doczekała się przekładu na język polski. Dokonał go w r. 1859 i pięknym wstępem historycznym poprzedził Leon Rettel, Warszawianin zamieszkały w Paryżu, bardziej znany u nas jako korespondent pism czasowych pod pseudonimem Zamostowskiego. Najpierwszą jednak pracą pisarską Domejki na półkuli południowej była rzecz polska: *Czteromiesięczna podróż z Paryża do Chili*, skręślona w formie dziennika podróży, przesłana Mickiewiczowi z Coquimbo na początku 1839 r., lecz ogłoszona dopiero po zgonie poety, w Krakowie, w 1857 roku. Dalej